

Sławomir Mazurek

<https://orcid.org/0000-0003-1523-5462>

Instytut Filozofii i Socjologii PAN

Tajna historia naszego dwójjedynego zakładu w wolnej Polsce

Nie tak dawno profesor Danilo Facca oznajmił mi, że jestem najstarszym wiekiem pracownikiem naszego Zakładu, tj. Zakładu Historii Filozofii Nowożytnej i Współczesnej. Usłyszawszy to, doznałem uczucia przyjemnej lekkości i beztroski, jakie opanowuje nas, gdy coś, co było źródłem obaw, okazuje się mniej straszne, niż sądziliśmy. Skoro niepostrzeżenie dla siebie samego znalazłem się już w położeniu zakładowego weterana, podejmę wyzwanie i opierając się na własnych wspomnieniach i wrażeniach, spróbuję przedstawić w wielkim skrócie historię naszego Zakładu od chwili, gdy do niego trafiłem, oraz dać charakterystykę osób, które się przezeń przewijały, by na koniec zarysować na tym tle sylwetkę profesora Lecha Szczuckiego. Od pierwszego dnia mojego pobytu w Instytucie przez ćwierć wieku profesor Szczucki niezmiennie okazywał mi życzliwość, na którą nie wiem, czym sobie zasłużyłem. Owszem, nieźle zdałem u niego egzamin z historii filozofii, ale to przecież nie powód, zresztą zaczęło się to jeszcze przed egzaminem. Nie przeszkadzała mu nawet moja mizantropia, którą może skrycie podzielał, bo kiedyś w trakcie rozmowy, podsumowując jakiś, nie pamiętam już jaki, wątek, rzucił krótko: „Tak, ludzie są ohydni”. Na szczęście nie wszyscy.

W czasach, gdy zaczyna się ta opowieść, czyli w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, świat nauki funkcjonował na zasadach tak odmiennych od obowiązujących dzisiaj, że dzisiejsze wydobyłyby się ludziom z tamtej epoki surrealistyczną fantazją biurokraty.

Dość powiedzieć, że w owych czasach, *illo tempore*, za artykuły drukowane w poważnych periodykach, takich jak „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”, otrzymywało się jeszcze honoraria, niewielkie bo niewielkie, niemalże symboliczne, ale symbole mają swoją wagę. I wówczas nie brakowało łowców stypendiów, było ich może nawet więcej niż teraz, bo wyjazd za granicę był większą atrakcją, ale ktoś, kto uzyskanie stypendium umieściłby na liście osiągnięć naukowych, co obecnie należy do normy, ośmieszyłby się bardziej chyba niż ten, co dziś wpisałby sobie do dorobku zakup ryżu papieru. Osiągnięciem naukowym mogła być książka powstała dzięki dotacji, ale nie wyszarpanie dotacji... O punktach nikomu się wówczas jeszcze nie śniło, uczeni mieli wiele wolnego czasu, który mogli spożytkować na lektury, rozmowy i rozmyślanie. Nie twierdzę, że był to system jednoznacznie lepszy od obecnego, trawiły go dwie straszne bolączki: snobizm i, nade wszystko, klientelizm. Był to jednak system bardziej niż obecny sprzyjający zaistnieniu i przetrwaniu tego, co włosko-rosyjski intelektualista Andrea Caffi nazywał *towarzystwem* (ros. *obszczestwo*, wł. *società*) i uważał za środowisko prawdziwie kulturotwórcze. A nazywał on tak wspólnotę ludzi o zainteresowaniach artystycznych i intelektualnych, którzy dysponują nadwyżką wolnego czasu, nie chcą podlegać niczyjej władzy ani też nikim rządzić.

Lata dziewięćdziesiąte były dla filozofii czasem dobrym, w tej mierze, w jakiej PRL był dla niej czasem znacznie gorszym niż dla literatury. W PRL filozofia podlegała przez lata dużo surowszej kontroli cenzorskiej niż literatura, ponieważ reżim legitymizował się poprzez odwołanie do konkretnego nurtu filozoficznego, a nie literackiego. Można więc było przełożyć na polski niemal całą klasykę dwudziestowiecznej literatury, z kilkoma drobnymi wyjątkami, ale nie dwudziestowiecznej filozofii. W latach dziewięćdziesiątych wynikłe stąd zaległości zaczęto z powodzeniem nadrabiać, młodzież garnęła się na studia filozoficzne, jednym słowem: wraz z odzyskaniem niepodległości sytuacja filozofii jako jednej z dziedzin kultury wyraźnie zmieniła się na lepsze. Sytuacja IFiS była natomiast taka sama jak zawsze za mojej pamięci, to znaczy pozostawał on instytucją w stanie permanentnego zagrożenia, chybocącą się nad przepaścią, której to instytucji zawsze jednak udawało się jakoś wykaraskać z opresji, przepłynąć kolejną kataraktę, wywinąć się raz jeszcze, choć chwilę wcześniej miało się wrażenie, że nie, tym razem to już się udać nie może...

O ile pamięć mnie nie zawodzi, ale tu mogę się mylić, istniały wówczas jeszcze dwa odrębne zakłady: jeden specjalizujący się w filozofii

nowożytniej i drugi od filozofii współczesnej. Ich organizacyjne zjednoczenie nastąpiło później, ale już wówczas działały one w symbiozie. Zajmowały dwa sąsiadujące ze sobą pokoje, do każdego z nich wiodło wprowadzić osobne wejście, ale istniały też trzecie drzwi, umożliwiające bezpośrednią komunikację między pomieszczeniami. I te drzwi rzadko się zamykały. Meble były ohydne. Na szczęście w pokojach panował zwykle spory ruch, w dni instytutowe zjawiało się wiele osób, a że były to osoby mniej lub bardziej interesujące, ich obecność odwracała uwagę od niemożliwie brzydkich sprzętów.

Nad społeczno-intelektualnym pejzażem obu zakładów górowały wówczas dwie indywidualności formalnie już z nimi niezwiązane, ale realnie pozostające, jedna w bezpośrednim, a druga w pośrednim, z nimi związku – Barbara Skarga i Andrzej Walicki. Oboje byli przedmiotem swego kultu, a ściślej „kultów” o różnej specyfice. Skarga w przeciwieństwie do Walickiego, lekceważącego tę sferę całkowicie, miała uczniów i uczennice, którzy kult jej podtrzymywali rozmaitymi środkami. Zdarzali się wśród nich prawdziwi dewoci. Walicki krążący po odległych międzynarodowych orbitach i, zanim na stałe powrócił do kraju, rzadko bywający w Instytucie, oddziaływał za pośrednictwem swoich książek, nie osób, a jeśli miał jakiegoś strażnika swego „kultu”, to był nim on sam, czego dowiódł wydana wiele lat później autobiografia, a raczej automonografia, oględnie mówiąc, nieco narcystyczną. Jest to jedyna jego nieudana książka.

Zakładem filozofii współczesnej, a następnie połączonymi zakładami w latach dziewięćdziesiątych i później kierował profesor Stanisław Borzym. Gdy myślę o tym, jak go scharakteryzować, zawsze przychodzi mi do głowy jedno słowo, niestety często źle rozumiane: dandyzm. Dandyzm we właściwym rozumieniu to niewymuszona, nierzucająca się w oczy, a więc najczystsza, elegancja. I taka elegancja cechowała wszystkie poczynania profesora Borzyna: jego zachowanie na co dzień, styl myślenia, polszczyznę mówioną i pisaną. Prócz tego w Zakładzie było jeszcze mnóstwo malowniczych postaci. A więc profesorella Katarzyna Rosner, jedna z pierwszych w Polsce propagatorek feminizmu (a trzeba pamiętać, że w owym czasie słowo to uchodziło za obelgę nawet w redakcji „Gazety Wyborczej”), w ogóle wcielenie niezniszczalnego typu polskiej inteligentki arcynowoczesnej, ulubiony uczeń Skargi, robiący błyskawiczną karierę Cezary Wodziński, Eugeniusz Górski, znawca filozofii hiszpańskiej i iberoamerykańskiej. A w sąsiednim pokoju Marian Skrzypek, specjalista od oświecenia, w przyszłości kawaler francuskiej Legii Honorowej. No i profesor

Zbigniew Ogonowski, o którym więcej za chwilę, bo nie da się takiej postaci zbyć zdawkową charakterystyką. Prócz tego młodszy pracownicy: Maciej Soin, dziś najwybitniejszy polski wittgensteinolog, Agata Bielik, zakochana w filozofii Jacquesa Derridy Waleria Szydłowska, która później za kadencji Gadacza padła ofiarą jakichś paskudnych rozgrywek personalnych i odeszła z Instytutu, i wreszcie, chyba od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych, Danilo Facca. Na początku XXI w. pojawił się w naszym Zakładzie Tadeusz Gadacz. Po zerwaniu z przyczyn prywatnych ze stanem duchowym opromieniony dwuznacznym nimbem, nieomal Abelard nowy. Zdołał się wybić na wicedyrektora, ale jego metody zarządzania wywoływały opór na tyle silny, że zmuszony był udać się w dalszą wędrówkę. Historia naszego Zakładu, którym po Borzymie kierował jeszcze profesor Górski, po nim ja, a po mnie kieruje dziś Facca, była w następnych latach, tak jak i historia całego Instytutu, a może i historia powszechna, procesem stopniowego przystosowywania się do nowego porządku. Każdy kolejny nowo przyjęty pracownik sprawiał wrażenie bardziej „zintegrowanego z systemem” od poprzednich. W ten sposób dokonało się w ciągu lat przejście od czegoś, co bardziej przypominało przedwojenną kawiarnię literacką niż korporację, do czegoś, co korporacją jeszcze nie jest, ale i kawiarni literackiej już nie przypomina. Profesor Ogonowski powiedział mi kiedyś, że „cieszy się, iż nie dożył tych czasów”, mając oczywiście na myśli to, że cieszy się, iż nie musiał pracować w warunkach takich jak my. Pamiętam, jak na jakimś posiedzeniu, jeszcze w zamierzchłej przeszłości, Szczucki bardzo dobitnie stwierdził, że Instytut to nie drużyna dyrektora (tylko w domyśle: zbiorowość samodzielnych uczonych prowadzących autorskie badania). Na pewno był on bardziej elastyczny niż Ogonowski, chyba całkiem dobrze przystosowywał się do nowych czasów, ale z dawnej środowiskowej kultury chciał zachować to, co cenne, i jeśli coś z niej przetrwało w naszym Zakładzie, było to w dużej mierze jego zasługą. A co przetrwało i co chciał zachować? Rozmowę. Rozmowę jako czynność wzbogacającą intelektualnie, służącą więc także rozwojowi naukowemu, ale w pierwszym rzędzie mającą na celu autentyczną, raczej głęboką, dopuszczającą wątki osobiste, wymianę myśli. Rozmowy takiej, niebędącej bynajmniej stratą czasu, który rzekomo z większym pożytkiem można by poświęcić na wypełnianie wniosków o coś tam, nie zastąpi sformalizowana dyskusja konferencyjna. Szczucki potrafił, trochę nawet z zaskoczenia, pytać, co sędzę o tym czy o owym. Czy podzielam jego podziw dla poezji Aleksandra Wata

(podzielałem częściowo), czy Carlo Emilio Gadda to niezły pisarz albo czy John Locke był typowym Anglikiem. Czuło się przy tym natychmiast, że nie były to ani pytania grzecznościowe, rzucane ot tak, dla podtrzymania rozmowy, ani prowokacje, mające na celu wysondowanie rozmówcy, w których bardziej chodzi o dowiedzenie się o nim czegoś niż o poznanie jego przemyśleń. Świadczyła o tym nawet poza, jaką przybierał w trakcie takich rozmów. Siedział na krześle z nogą założoną na nogę, z łokciem wbitym w kolano i podbródkiem wspartym na dłoni, zgięty w pałąk, czyli w pozie, która z jednej strony świadczyła o skupieniu myśli, a z drugiej o koncentracji energii, bo co zgięte może się odgiąć z dużą siłą, lada chwila gotów wyładować się w aprobachie lub replice. Jego sposób mówienia nie miał nic wspólnego z typowymi manierzynami intelektualistów, a zwłaszcza filozofów, którzy albo rezonują, tak że od razu widać, iż nie obchodzi ich żadne zdanie poza własnym, albo mówią ściszym matowym głosem, całkowicie wypranym z emocji, jakby chcieli pokazać, że są jedynie bezosobowym medium wyższej prawdy, jakimś rurociagiem, przez który spływa ona z transcendencji. Szczucki – tak to zapamiętałem – mówił impetycznie, zwalniając i przyspieszając, ścisząc i podnosząc głos, jakby ów głos był napędzany przez nierówno pracujący silnik. I tak było w istocie, bo żywa myśl z zasady pracuje skokami, przyspiesza i zwalnia. Mówił w rytmie myśli, jak wszyscy, którzy myślą, kiedy mówią, i mówią, co myślą. Rozmowa zaczynała się od dwóch, trzech osób, a potem rozrastała, wchłaniając kolejne, każdego, kto zjawiał się w pokoju i chciał się przyłączyć. Ostatni mogli mieć już kłopot ze znalezieniem krzesła. Swobodne, lecz nie chaotyczne, przechodzenie od tematu do tematu, bez cenzury czy jakiegokolwiek poprawności, bo Szczucki był szczerym zwolennikiem wolności słowa, postawa dziś niespotykana. Pamiętam, jak na posiedzeniu Rady Naukowej z powodu jakiejś nonkonformistycznej wypowiedzi gremium gwałtownie się na kogoś obruszyło, nie pamiętam, o co poszło ani kto był ofiarą, ale reakcja profesora, który zasiadał wtedy w prezydium, była charakterystyczna, w prostocie swojej genialna i godna uwiecznienia: „Uspokójcie się, przecież możemy mieć na tę sprawę różne poglądy”. I to zadziałało. Także w czasie rozmów w naszym pokoju zdarzało mu się wypowiadać opinie niby oczywiste, ale oczywistością rozwiązania łamigłówki, którego próżno szukamy, bo jest za proste. Kiedyś, też nie pamiętam już czym sprowokowany, rzucił: „Bo ja wierzę w ludzką uczciwość”. Zapamiętałem to, bo nigdy ani przedtem, ani potem nie słyszałem z niczyich ust takich słów. Niestety żadnej

z tamtych rozmów, ostatnie toczyły się ponad dziesięć lat temu, nie jestem w stanie odtworzyć w całości, może dałoby się to zrobić, gdyby któryś z uczestników zechciał się poddać hipnozie. Ale głębsza pamięć przechowuje je w nienaruszonej chyba postaci, bo zdarza się, że jakieś ich strzępki nagle powracają do mnie pod wpływem zewnętrznych okoliczności. Ostatnio, z przyczyn aż nadto wiadomych, zdanie wypowiedziane przez profesora, gdy w rozmowie zboczyliśmy na wojnę trzydziestoletnią: „Pod koniec nie wiedzieli już, o co walczą, ani kto z kim jest w koalicji”.

Do najostrzejszych sporów w trakcie naszych dyskusji dochodziło między mną i profesorem Ogonowskim, słynnym badaczem staropolskiej myśli politycznej i socynianizmu, a poza tym człowiekiem interesującym się wszystkim, może z wyjątkiem muzyki symfonicznej. Po jakimś czasie spory te zaczęły żyć własnym życiem, już w oderwaniu od naszych zbiorowych debat, zautonomizowały się i przekształciły w trwającą latami waśń. Była to waśń światopoglądowa z podtekstem historycznym i politycznym, spór racjonalisty z irracjonalistą, a jeśli ktoś bardzo chce tak to nazwać, to i klasyka z romantykiem. Ale chyba i spór o miejsce intelektualisty w świecie. Ogonowskiemu, jak przypuszczam, byłem również potrzebny jako materiał do studiów teratologicznych nad ludzką umysłowością: „Zdumiewa mnie, że ktoś może myśleć tak jak pan” – mawiał. On bronił PRL jako najwesełszego baraku w obozie, ja odpowiadałem, że nie wszystkim bynajmniej było w nim do śmiechu. On replikował: „my tu w PAN byliśmy elitą i mało obchodziło nas, co dzieje się poza murami gmachu”, ja – że właśnie w tym był problem... I tak to się ciągnęło. Świadkiem i właściwym adresatem tych sporów był Danilo Facca, wówczas na średnim szczeblu wtajemniczenia w polskość, było to coś w rodzaju moralitetowej walki o jego duszę. Sam tak to kiedyś ujął: „Czuję się, jakby dwóch demonów mnie sobie wydzierało”. Ponieważ miałem wrażenie, że Facca rzeczywiście chce być także Polakiem, namówiłem go wówczas do czytania *Kordiana*, bo szczerze uważam, że kto nie zrozumiał tego dramatu, bardzo trudnego skądinąd, Polakiem nie jest w pełnym znaczeniu. Danilo zrezygnował po przeczytaniu połowy *Przygotowania...*

Był jednak czas, kiedy profesor Szczucki stał się dla mnie źródłem nieomal udręki. Miałem w życiu okres, i to wcale nie krótki, kiedy waliły się na mnie wszelkiego rodzaju kłopoty, czy był to kryzys egzystencjalny, czy wyjątkowo zła koniunkcja planet, nie wiem – dość, że chociaż nikomu się nie zwierzałem, widać było po mnie, że dzieje się

coś złego. I wtedy się zaczęło, profesor Szczucki każdą rozmowę ze mną, każde spotkanie zaczynał od jednego sakramentalnego pytania: „Dlaczego Pan taki smutny?” Prawdy o moich zgryzotach, które wtedy wydawały mi się wielkie – błahe nie były – powiedzieć mu absolutnie nie mogłem, kłamać nie chciałem, męczyłem się więc strasznie, za każdym razem wymyślając nowe wykręty. Trwało to, trwało, aż nagle ustało. Piszę zaś o tym, by uzupełnić charakterystykę profesora. Nie wiem, czy tak było w istocie, bo choć znałem go długo, nie znałem go wcale dobrze, nie byłem z nim w żadnej zażyłości, ale sprawiał on wrażenie człowieka szczęśliwego, całkowicie spełnionego. Wyglądał na osobę, która znajduje się poza zasięgiem nieszczęścia. I to, że nieszczęście uderzyło weń tak niespodziewanie i z tak straszną siłą, wydaje mi się jakąś bardziej oburzającą niż w innych wypadkach pomyłką losu.

Setki, jeśli nie tysiące razy, słyszałem z ust różnych mędrków i autorytetów, że w nauce najważniejsza jest relacja mistrz-uczeń. Uważam, że to komunał bez pokrycia, chętnie międlony przez ludzi, co sprawy nie przemyśleli do końca. Mistrzowanie, czyli faszzerowanie sobą innych, to zajęcie szkodliwe dla obu stron i samo w sobie godne politowania. Od mistrzów starałem się trzymać jak najdalej i sam, nawet gdybym mógł, nigdy nie aspirowałbym do takiej roli. Ludzie myślący są samotni, dlatego intelektualisci tak często stają się konformistami, niepostrzeżenie zrzekają się samodzielności myślenia, bo nazbyt ciąży im nieodłączna od niej samotność. Myślą, że myśląc stadnie, wciąż będą myśleć, a nie będą już sami. To pewna i wciąż na nowo przemierzana droga do intelektualnej autodestrukcji. Wyjściem z pułapki nie jest poszukiwanie współwyznawców ani skupienie się wokół mistrza czy mistrzyni, bo nie od dziś nader często są to mistrzynie, albo też przyłgnięcie do nich, ale znalezienie rozumiejącego rozmówcy, który dla osamotnionej myśli staje się względny punkt oparcia. Jeśli jest to rozmowa prywatna, poza formami zorganizowanymi, tym lepiej – punkt oparcia jest wówczas pewniejszy, bo i sytuacja jest bardziej autentyczna. I takim właśnie rozmówcą, prowadzącym takie właśnie rozmowy był profesor Lech Szczucki. Nie wiem, ilu samodzielnie myślącym osobom pomógł w ten sposób przetrwać, ale na pewno niejednej.